

PRACA nad sobą

Treści zeszytu 12, maj 1999.

CZY DZIŚ JEST POTRZEBNA MISTYKA ?

Objawienia naszej Założycielki, dla tych którzy potrafią je właściwie przeżyć, stanowią wspaniały zestaw wskazówek jak niezmiennie prawdy i zasady Kościoła Powszechnego zastosować do chrześcijańskiego życia w dzisiejszej, przelomowej epoce. Nie stanowią one niczego w istocie nowego, przypominają natomiast to, co ongiś, w innej sytuacji Kościoła mogło nie być specjalnie ważne, dziś się zaś staje nieodzowne dla uchronienia świata przed zagładą. Dla wielu jednak, którzy przeczytali te objawienia niezbyt dokładnie i - co gorsza - którzy nie znają podstaw nauki Kościoła Powszechnego, lecz tylko powierzchowne zwyczaje i zewnętrzne wyrazy dotychczasowej jego działalności, niektóre objawienia wydają się nieistotne, niepotrzebne, a nawet błędne. Zdarzają się nie tylko krytycy zewnętrzni, ale i mariawici, którzy woleliby, aby pewnych rzeczy Mateczka nie zapisała. „Łatwiej by się było” wtedy z tymi objawieniami pogodzić. Do takich miejsc Objawień Dzieła Miłosierdzia Bożego należy między innymi akapit 48 „Początku zawiązku zgromadzenia kapłanów” gdzie czytamy:

>>Mówił mi Pan Jezus ze smutkiem, że w seminariach jest zły kierunek, bo przełożeni zwracają uwagę tylko na naukę i zewnętrzne sprawowanie się kleryków, a nie

kształcą serc przez wyniszczanie wad charakteru i nabywanie cnót odpowiednich powołaniu, więc życie ascetyczne znają tylko z teorii. Nauka też nisko stoi, - nie uczą wcale teologii mistycznej, uważając za zbyteczną na te czasy. Dlatego wychodzą umysły poziome, a nauka ta staje się coraz mniej dostępna dla rozumu. Prawie każdy po wyjściu z seminarium ułoży sobie formułkę wyczytaną z jakiejś książki ascetycznej i według tej kieruje duszami, nie śledząc w nich działania Bożego, i dlatego tyle jest fałszywej pobożności, że nie ma przewodników. Mówił mi Pan, że przewodnik powinien mieć nie tylko naukę i doświadczenie ale jeszcze dar rozpoznawania duchów, który z góry jest, a „Duch Święty tchnie, kędy chce”, i nie może przewodnik podnieść duszy do wyższej doskonałości, tylko o tyle, o ile sam postąpi.<< (zaznaczyłem tłustym drukiem słowa, na które pragnę tu zwrócić uwagę.)

Z powyższego tekstu wynika, że sama tylko nauka i dobre, moralne obyczaje („zewnętrzne sprawowanie się”) nie wystarczają temu, kto się pragnie poświęcić kapłaństwu. Kto chce innych doprowadzać do Chrystusa, musi oprócz wiedzy teologicznej (której potrzeby Objawienie bynajmniej nie neguje) i życiowej mądrości, mieć jeszcze dar rozpoznawania duchów. Musi mieć żywe rozpoznanie w świecie nadzmysłowym. Musi nie tylko znać formułki wyczytane z „jakiejś książki ascetycznej”, lecz musi znać życie duchowe z własnego doświadczenia, a to może dać tylko mistyka, którą niestety wielu uważa za niepotrzebną i dlatego nie uczą jej w seminariach duchownych. Gdy poczytamy objawienia Mateczki dalej, dowiemy się, że życie mistyczne potrzebne jest nie tylko kapłanom, ale każdemu, kto pragnie uczestniczyć w Dziele Miłosierdzia Bożego, a to znaczy każdemu, kto chce być właściwie wyposażony na pokonanie trudności współczesnych czasów. Czy jest w tym stwierdzeniu coś sprzecznego z nauką Kościoła Powszechnego, albo może jest to echo jakichś poglądów wprawdzie nie sprzecznych z tą nauką, ale dziś nie potrzebnych? Niech mi będzie wolno zacytować tu jednego z wybitnych współczesnych teologów Paula Evdokimowa,

który pisze wprost: >> „*Życie mistyczne*” jest ... równoważne z *życiem chrześcijańskim* ¹ <<

Mistyka kojarzy się niektórym ludziom z niekontrolowaną, a rozbudowaną nadmiernie uczuciowością, ze słodkimi złudami, z zawieszeniem intelektu, ze ślepyim poddawaniem się nieznanym wpływom i podniętom. Przeczytajmy jeszcze raz przytoczone słowa Objawień. Jest tam podane jako smutny fakt, że „nauka ta” czyli teologia mistyczna „staje się coraz mniej dostępna dla rozumu”. Czy istnieje sprzeczność między rozumem, a mistycyzmem? Tylko wtedy, kiedy albo rozum zamiast myśleć obiektywnie, jest przeładowany przesądami, albo jeśli pod uprawianiem mistyki rozumiemy wprowadzanie się w jakiś trans podobny do narkotycznego.

Owszem istnieje fałszywa mistyka sprzeczna z rozumem i im mniej rozumnych ludzi zna prawdziwą, zdrową, chrześcijańską mistykę, tym więcej mogą się szerzyć praktyki pseudomistyczne. Objawienie dobrze uchwyciło niebezpieczeństwo niedostępności teologii mistycznej dla rozumu, rozbratu tych dwu rzeczy. Dziś niestety rozum coraz częściej gardzi mistyką, a za to szerzy się importowany ze wschodu przedchrześcijański mistycyzm, powstały w epoce zupełnie innej, odwołujący się częściej do ludzkich instynktów niż do rozumu. W rezultacie mamy ludzi „współczesnych”, rządzących światem, czasem się nawet nazywających chrześcijanami, ale rozumiejących wyłącznie rzeczywistość fizyczną i mamy ludzi poczciwych, odchodzących od chrześcijaństwa, bo znajdują w nim tylko zewnętrzne obrzędy, i łączących się z grupami obiecującymi oderwanie od obowiązków ziemskich, oderwanie od wszelkich spraw tego świata i otoczenie kokonem pseudorajskich rozkoszy duszy.

Dzieło Miłosierdzia nie wzywa do odwrócenia się od tego świata lecz nakazuje czerpać siły ze świata Ducha, aby światu pomagać, aby walczyć o jego nawrócenie, aby umożliwić działanie Miłosierdzia Bożego.

* * *

W cienkich zeszytach „Pracy” nie da się omówić szerzej, czym jest mistyka, przedstawić jej odmiany (odróżnienie mistyki w sensie ścisłym od chymiki) i stopnie. Kto się chce zapoznać najpierw teoretycznie, a potem i w praktyce rozwijać życie mistyczne musi sięgnąć do klasycznych dzieł Ojców Kościoła, do dobrych (a bardzo rzadkich) współczesnych dzieł, jakim jest na przykład cytowana wyżej książka Paula Evdokimowa, lub do zdrowej, chrześcijańskiej wiedzy duchowej (Dzieła Rudolfa Steinera, Walentina Tomberga...). Powinien wreszcie wniknąć medytatywnie w treść Objawień Mateczki. Zwłaszcza wiele wskazówek dla zaawansowanego rozwoju mistycznego znajdzie w księdze „*Wyjātki z objawień w roku 1899 i 1900*”. Z tych źródeł korzystali pierwsi mariawici. Tu zamierzam napisać wyłącznie o zupełnie początkowych krokach na ścieżce rozwoju wewnętrznego.

Przed wszystkim pamiętajmy, że się nie może stać prawdziwym mistykiem kto

- pragnie przestać myśleć,
- pragnie się wyzwolić od obowiązków i ciężarów życia,
- pragnie górować nad innymi,
- pragnie uzyskać tajemnicze, wyższe zdolności psychiczne.

Może i powinien natomiast wstąpić na ścieżkę wewnętrznego rozwoju kto

- pragnie dokładnie pojąć własne, szczegółowe powołanie, aby lepiej służyć światu i ludziom zgodnie z wolą Bożą,
- kto obiecuje dążyć zawsze do prawdy o sobie i o innych ludziach, nawet jeśli ta prawda okazałaby się bardzo przykra,
- chce rezygnować powoli z sentymentów i subiektywnych przywiązań, a zamiast nich rozwijać wyższe uczucia,
- pragnie kochać coraz bardziej te istoty, które kochał dotąd i rozszerzać tę miłość na coraz większe grono istot,
- pragnie całą działalność kontrolować zdrowym umysłem.

* * *

Właściwą dla każdego człowieka drogę rozwoju wewnętrznego może ostatecznie wskazać tylko Chrystus. Każdy tylko sam może w swoim wnętrzu, w świetle Ducha Świętego, w rozmowie swojego sumienia ze Zbawicielem znaleźć impuls do wejścia na tę lub inną ścieżkę, bo również początki tej drogi dla każdego bywają inne. Tu chcę tylko przykładowo naszkicować kilka sytuacji.

W parafialny dzień adoracyjny odbywam moją, wyznaczoną godzinę adoracji. Z początku myśli mi się rozpraszają. Usiłuję je uporządkować i właściwie ukierunkować. Biorę do ręki brewiarzyk. Modlitwy i rozmyślania adoracyjne znam na pamięć. Uwaga nie chce się na nich zatrzymać. Przewracam po kolei kartki szukając czegoś, co pomoże koncentracji. Zatrzymuje się na rachunku sumienia. Znajduję słowa „Czyś nie odpychał od serca swego natchnień do dobrych uczynków...”. „Coś” mi przypomina, że niedaleko mnie mieszka samotna matka z trojgiem dzieci. Nie są moimi znajomymi. Mówiono mi, że najstarszy syn, co już chodzi do szkoły, ma trudności w nauce. Matka nie ma czasu mu pomóc, musi się uganiać za zarobkiem, a poza tym pewnie by i nie umiała. Na korepetytora też nie ma pieniędzy. Przyszła mi raz taka głupia myśl do głowy, żeby tego chłopca zapraszać na odrabianie lekcji u mnie i przy mnie. Ale zaraz to uznałem za pomysł ekstrawagancki i dziwny. To przecież nie są moi znajomi. Teraz przychodzi mi jakieś „natchnienie” żeby to wykonać. Ale jakieś „inne coś” mi podpowiada, że głupi jestem i zarozumiały, że tylko chcę się sam przed sobą szczyścić tym, że „pełnię dobry uczynek”. Lecz jestem przecież na adoracji, więc weryfikuję to wszystko myślami, które staram się rozwijać przed Utajonym Chrystusem i wraz z Nim. Wynik przemyślenia: Nie istotne, czym to ma być dla mnie, istotne że chłopcu się przyda. Przed końcem adoracji już wiem, że rozsądne myślenie skłania mnie do pójścia do tej nieznajomej kobiety i zaofiarowania jej synowi pomocy. Ale to postanowienie nie wzięło się z toku mojego zwykłego myślenia. Ono mi zostało jako dziwnie podsunięte.

Jest, powiedzmy, popołudnie letnie. Słońce już nisko, upał nie doskwiera. Idę samotnie przez pola i czuję jakąś dziwną wewnętrzną radość. Mogę o niej zapomnieć i zająć się myśleniem o najbliższych czekających mnie obowiązkach. Ale zamiast tego „coś” każe mi jeszcze zintensyfikować odczucie tej radości. Czuję, że świat jest piękny, że Stwórca świata jest dobry. Przypomina mi się znany z nieszpórów hymn „Wielbi dusza moja Pana”. Przez chwilę „inne coś” podsuwa mi pewnego rodzaju wstyd „dewot jesteś”. Ale ja to inne coś odsuwam i w myśli słowo za słowem odmawiam „Wielbi dusza moja...”, tak właśnie - moja. I czuję, że te wszystkie słowa hymnu stosują się w tej właśnie chwili i w tym miejscu do mnie. Chwałę Boga wraz z Bogurodzicą i czuję nieomal fizycznie Jego łaskę spływającą na mnie. Potem to wszystko weryfikuję myśleniem. Tak, odsunąłem swoją wolą zły podszept „innego czegoś”, i przeżyłem wspaniałą świadomą chwilę „kontaktu” z Bogiem. I rozum mówi mi dalej, że ta chwila nie była moją zasługą, że nie umiałbym jej stworzyć własną wolą. Wiele razy będę szedł w podobnym czasie przez podobne lub te same pola, ale to się nie powtórzy. Bo nie musi się powtórzyć, wystarczy, że będę pamiętał, iż taką chwilę kiedyś przeżyłem.

Odmawiam taką „banalną” modlitwę, jaką jest różaniec. Ale staram się jej nie „odrecytować” machinalnie tylko odmówić myśląc świadomie. Jestem przy trzeciej tajemnicy bolesnej, rozmyślam o ukoronowaniu Chrystusa cierniem. W duszy widzę obraz Tego, który nie tylko przeżywa ból fizyczny skóry i kaleczoną czaszkę przy brutalnym wciskaniu koleczastego wieńca, ale i ból wyszydzenia: „Jesteś królem, a więc Cię oto koronujemy”, uciechę sadystycznych oprawców przeżywaną przez ich Ofiarę. I myślę o sobie. Przeżywałem bolesne zabiegi chirurgiczne i ból umiałem ofiarować Zbawicielowi, co stanowiło dla mnie pociechę. Ale jeśli się ze mnie śmieją, nie potrafię zachować spokoju. Ba, nawet zwykła i słuszna krytyka tego co robię wytrąca mnie z równowagi. W obszar mojej świadomości wnika nagle modlitwa nabożeństwa różańcowego „Boże którego Jednorodzony Syn ... odkupił rodzaj ludzki, daj ... abyśmy rozpamiętywując tajemnice różańca św. naśladowali to, co się w nich

zawiera...". I postrzegam w sobie myśl, że w jakiejś mierze jestem zdolny naśladować Zbawiciela w świadomym przyjęciu losu (modlitwa w Ogrójcu), w cierpieniach (ubiczowanie), ale już naigrwania z siebie ścierpieć nie potrafię. I oto coś nowego, coś więcej wiem o sobie, wiem który etap rozwoju wewnętrznego jest tymczasem przede mną zamknięty, wymaga dopiero usilnej pracy nad sobą. Nikt mi tego nie powiedział, nigdzie tego nie przeczytałem. A więc mam poznanie osiągnięte na drodze wewnętrznej, mistycznej. Powinienem i mogłem je zweryfikować rozumem, ale nie racjonalne myślenie doprowadziło mnie do tego poznania tylko odmawianie różańca.

Tego rodzaju przeżycia możemy z wdzięcznością przyjmować i śledzić, ale możemy też nie zauważać i tłumić w sobie. W pierwszym przypadku będzie w nas wzrastało życie wewnętrzne, w drugim - będziemy się coraz bardziej wiązać wyłącznie ze światem zewnętrznym. Przytoczone przykłady dotyczą przeżyć jakże dalekich od wzniosłych stanów mistycznych jakie przeżywała nasza Mateczka lub Święty Jan Apostoł. Do tak wysokich przeżyć Bóg wybiera te istoty, które chce, a na pewno nie wybierze tych, którym by to sprawiło przyjemność, że są wybrani, lub miało wbić w dumę. Bóg daje każdemu według jego miary. Stała praca nad rozwojem dobrych naszych cech i przemianiem złych w dobre, lub przynajmniej mniej szkodliwe, powinna być dla nas radością samą dla siebie, zaś pamięć takich szczególnych przeżyć, które czasem się mnożą i nabierają większej intensywności ma nas sprowadzać stale na ścieżkę, ilekroć gotowibyśmy byli ulec zniechęceniu i zaniechaniu pracy nad sobą.

brat Paweł

¹ Paul Evdokimow „Poznanie Boga w Kościele Wschodnim” tłumaczyła z francuskiego Alina Liduchowska - Kraków 1996 drugi akapit na str.135,

P O S T R Z E G A N I E

Dla tego, kto wstąpił na świętą ścieżkę uczniostwa - wszystko, co się dzieje dookoła, oznacza: pouczenie i przewodnictwo!

Nie ma tak błędnego zdarzenia ani w świecie zewnętrznym, ani w wewnętrznym, z którego ty, uczniu, nie mógłbyś wyciągnąć dla siebie pouczenia. Dlatego przede wszystkim powinieneś osiągnąć dar postrzegania.

Zapamiętaj na zawsze, że w całym Wszechświecie nie ma nigdy i nigdzie przypadku.

Wszystko jest prawem, wszystko się dzieje według prawa. Toteż każde zdarzenie ma wewnętrzny sens i cel. Przypadkiem nazywane jest zdarzenie, którego prawa i znaczenia człowiek nierozwinięty jeszcze nie pojmuje. Ty natomiast musisz zawsze dążyć ku odkrywaniu znaczenia i celu działania prawa. Nie przechodź więc obojętnie obok zdarzeń, które napotykasz na swej drodze.

Wierz, iż wszystko to ma ci dawać nowe poznania i wzbogacać skarbnicę twych doświadczeń.

Wszystko, co dociera do twych zmysłów zewnętrznych i wewnętrznych, czyli wszystko, co postrzegasz, rozszerza twoje poznanie. Jest ono twym duchowym, bezcennym majątkiem powierzonym ci, abyś nim zarządzał i korzystał z niego.

Wiedz jednak, że ponosisz odpowiedzialność za te dobra nieustannie dawane ci do rąk. Ilekroć coś słyszysz, widzisz, o czymś się dowiadujesz lub coś przeżywasz, zapytaj samego siebie:

- Czego może mnie to nauczyć? Jaki zysk duchowy mogę z tego wydobyć? Jak mogę skorzystać z tego nowego doświadczenia i świadomie stosować je w swym postępowaniu?

Miej odtąd, o uczniu, oczy szeroko otwarte, a każda rzecz, każde zdarzenie na drodze życia będzie ci nauczycielem, przewodnikiem i głosem Mistrza.

Jerzy Znamierowski

M Y I Ś W I A T

Świat zawiera wiele niebezpieczeństw i zasadzek. Aby się im przeciwstawiać musimy widzieć w zdobycach nowoczesnej techniki tylko środek do celu, a przede wszystkim pielęgnować ducha Jezusowego, przeciwnego duchowi świata. Nieobliczalne są szkody jakie duch świata może przynieść chrześcijaninowi, a szczególnie duchownemu.

Dziś, w epoce wielkiego rozwoju wiedzy materialnej i techniki musimy dokładnie rozważać nasz stosunek do zdobytych myśli i pracy ludzkiej. Należy je wykorzystywać dla chwały Bożej pamiętając na zasadę jaką głosił apostoł Paweł: *Wszystko dla was, wy dla Chrystusa, a Chrystus dla Boga.* (1.Kor.3;23).

Opracował brat T.M

=====

Czy Bóg jest poza czasem?

Z uwagą i zainteresowaniem przeczytałem rozważania brata Pawła „*Wolna wola człowieka wobec wszechmocy Bożej*” („Praca nad sobą, zeszyt 11”). Myślę, że jestem jednym z wielu, którzy nie mogą w całości podzielać wszystkich sprecyzowanych założeń autora, a zwłaszcza opinii, że „dla Boga nie ma teraz” (str.3.) oraz skategoryzowanego poglądu dotyczącego stosunku Boga do wolnej woli człowieka (str.3.)

Jeżeli uwolnimy się od atrakcyjnej pokusy sensualistycznego sposobu pojmowania Boga, to okaże się oczywiste, że Bóg istnieje sam z siebie, bez jakiegokolwiek zewnętrznej przyczyny. Dlatego w Piśmie Świętym wielokrotnie podkreślony zostaje istotny przymiot Boga, który określa się przymiotnikiem „wieczny” (np. Rdz 21;33, Pwt. 33;27, Izaj. 40;28,) dla podkreślenia, że w przeciwieństwie do człowieka, Bóg nie jest w swoim istnieniu determinowany przez czas, który przedstawiany jest jako przemiana tej cząstki wieczności, której Bóg używa człowiekowi podlegającemu zmianie przemijania w przestrzeni czasowej.

Ponieważ wieczność Boga pozbawiona jest początku, nie ma też końca, nie istniała „wczoraj” i nie zaistnieje „jutro”. Dlatego

trwanie Boga można rozumieć jako posiadającą samą siebie w stopniu absolutnym terażniejszość, która nie zna żadnego „wcześniej”, ani żadnego „później”, ponieważ jest idealną pełnią bycia. Dlatego zasadne jest stwierdzenie, że Bóg działa „teraz” o czym w sposób jednoznaczny przekonują nas wypowiedzi Jezusa Chrystusa dotyczące oczekiwań mającego rychło nastąpić końca (przykładowo: Mar.13;19-20.). Sam Bóg, objawiając imię Swoje Mojżeszowi w sposób jednoznaczny określił siebie jako terażniejszość: „Jestem, który jestem” (wj. 3;24) i który tę terażniejszość podkreślił powtórzeniem „jestem”.

W działaniu Boga najwyraźniej ukazana jest Jego wieczność nie jako zaprzeczenie istnienia czasu, ale jako władanie czasem. Zależność tę znajdujemy w akcji stworzenia, ale najlepiej uwidoczniła się ona w objawieniu się Boga w Jezusie Chrystusie. Ktoś, kto chciałby zanegować tę prawdę, musiałby konsekwentnie zaprzeczyć historycznym wydarzeniom (które zawsze i wyłącznie odbywają się w czasie i przestrzeni terytorialnej), zwłaszcza temu, że „*Słowo stało się Ciałem i zamieszkało wśród nas*” (Jan 1;14) oraz, że Jezus ukrzyżowany „*zmartwychwstał, jak powiedział*” (Mat.28;6). Te dwa przykładowo wybrane wydarzenia potwierdzają tę prawdę, że Bóg w ludzkiej naturze przyjął czasowość i dlatego Jezus Chrystus, syn Człowieczy podlegał ludzkiemu czasowi i zmianom, które niosło przemijanie czasu.

Rozważając relację Bóg, a wolna wola człowieka, autor dokonał totalnego ograniczenia siły sprawczej Boga, że „Bóg przygląda się temu, jak się naszą wolą posługujemy” (str. 3). Tak prezentowany Bóg jest pasywny, pozbawiony energii działania, a więc możliwości ingerencji w losy dzieł przez siebie stworzonych, a więc i człowieka. Pogląd taki sprzeczny jest z rzeczywistością opisaną przez św. Jana (25;1), którą Bóg określił „*beze Mnie nic nie możecie uczynić*”. Tak więc wszelkie działanie człowieka uwarunkowane jest łaską Boga, rozumianą jako samoudzielenie się Boga człowiekowi. Gdybyśmy przyjęli, że Bóg jest statyczny, nie byłoby wydarzeń historycznych, których zaistnienia nie negujemy, np. Objawienia się Boga św. Franciszkowi i powierzenia mu misji reformy Kościoła, jak również trzeba by było podważyć historyczność objawień bł. Marii Franciszki Kozłowskiej. Te i setki innych zdarzeń dziejących się w czasie i w przestrzeni, jednoznacznie wskazują na dynamizm Boga. Do istotnych cech wskazujących, że Bóg w sposób

różnorodny wkracza w życie ludzi, należy cała problematyka Miłosierdzia Bożego.

Rozważając tę tematykę zawartą w teologii mariawickiej doszedłem do zdefiniowania tego pojęcia, które sprecyzowałem następująco: **Miłosierdzie Boże jest materialnym, zewnętrznym objawem niematerialnej miłości Bożej.** Definicji tej użył publicznie po raz pierwszy bp M. Tymoteusz Kowalski w wystąpieniu inauguracyjnym w dniu 17. września 1991. r. sympozjum na temat „Teologia Miłosierdzia Bożego w kościołach chrześcijańskich”. Jeżeli zatem uznaje się za rzeczywiste, doświadczalne i obserwowalne u człowieka działanie miłosierdzia Bożego, to wynika ono z czynnego stosunku Boga do człowieka. W Piśmie Świętym Starego i Nowego Testamentów znajdują się setki przykładów, które jednoznacznie wskazują, że Bóg wkracza w życie ludzi zawsze, kiedy taka jest Jego wola, zwykle z niezrozumiałymi dla nas motywami. Doskonałymi przykładami są na przykład Księga Rodzaju i Księga Wyjścia, wybraństwo Najświętszej Marii Panny na Matkę Boga całkowicie przemieniło Jej życie i losy. Dlatego pojęcie Boga statycznego, obserwatora jest nie do przyjęcia. Także obdarzenie ludzi wolną wolą jest działaniem Boga.

Na określenie pojęcia „wola” użyjmy jednej z definicji, która głosi, że *jest to zdolność do wiadomego, zamierzonego i pozbawionego zewnętrznego przymusu wykonywania pewnych czynności oraz powstrzymywania się do innych* (W. Szewczuk). Zatem wolna wola to nic innego niż zdolność człowieka do dokonywania wyborów. Bóg obdarzając człowieka tą zdolnością w znacznym stopniu usamodzielniał go, a zarazem nałożył na niego odpowiedzialność za dokonane alternatywne wybory i za wynikające z nich postawy i działania. Człowiek pozbawiony wolnej woli, człowiek bezwolny, mógłby tylko i jedynie idealnie spełniać wolę Boga. Nie mógłby podejmować własnych decyzji a więc byłby pozbawiony własnych zasług i własnych zaniedbań. Wolna wola daje człowiekowi możliwość kształtowania własnej osobowości poprzez nabywanie doświadczeń wypływających z jednostkowo dokonywanych wyborów. Ponieważ możliwości człowieka w sferze przewidywania są wysoce ograniczone, ludzkie wybory są często niewłaściwe, a podejmujący je człowiek ponosi ich skutków dotkliwe i przykre konsekwencje. Pierwszym opisanym w Biblii przykładem zastosowania wolnej woli człowieka jest grzech nieposłuszeństwa prarodzciców.

Wbrew zakazowi Boga wybrali działanie powodowane pokusą zaspokojenia ciekawości, co kryje zakazane. Od tego czasu ludzie wykorzystując Boży dar wolnej woli mogą dokonywać rozróżniania między dobrem i złem, ale o tym przekonują się po czasie, po ujawnionych skutkach wyborów.

Do opisanych reminiscencji skłoniły mnie rozważania brata Pawła. I chociaż nie podzielałam wszystkich tez autora, to jednak lektura artykułu była motywacją moich rozmyślań, a chyba o to głównie chodzi „Pracy nad sobą”.

Michał Własta

* * *

uwagi autora

Brat Własta nie podziela wszystkich moich tez. Ja natomiast podzielałam wszystkie jego tezy z wyjątkiem jednej, przypisującej mi ujmowanie Boga jako pasywnego i statycznego. Zaszło tu nieporozumienie wynikłe z niedokładnego odczytania mego tekstu. Napisałam, że „Bóg przygląda się temu jak się naszą wolą posługujemy” i chyba żaden chrześcijanin nie będzie twierdził przeciwnie, że Bóg się nie przygląda naszym uczynom. Natomiast nigdy nie napisałbym, że Bóg się **tylko przygląda** nie ingerując, nie karząc i nie nagradzając.

Bóg jest najpotężniejszy właśnie w swojej pozaczasowej aktywności. To przecież przed czasem Ojciec rodzi Syna, pozaczasowe jest także pochodzenie Ducha Świętego. I tych potężnych Bożych wydarzeń nie da się człowiekowi nawet wyobrazić, bo my wszystkie działania potrafimy pojmować tylko jako zachodzące w czasie, a na przykład nie było takiego czasu, kiedy Syn nie był zrodzony. Bliższe są dla nas te Boże działania, które mamy pełne prawo odczuwać czasowo, Ich przykłady zostały pięknie podane przez brata Włastę. Z naszego punktu widzenia istnieje przeszłość, teraźniejszość i przyszłość w której przeżywamy zarówno działania swoje jak i Boże. Dla Boga, jak to napisałam, nie istnieje jakies oddzielne „teraz”. On zawsze **JEST** jednakowo (powiedziałbym „zarazem”, gdyby ten wyraz nie miał już zabarwienia czasowego) w teraźniejszości, w przeszłości i w przyszłości. W przeoczeniu faktu, że my tylko w czasie potrafimy przeżyć jakiegokolwiek wydarzenia, zaś Bóg nie jest ograniczony naturą czasu, widzę jeden z powodów

powstania błędnej nauki o predestynacji i przez zwrócenie uwagi na ten fakt usiłuję w moim cytowanym artykule sprawę rzekomej sprzeczności między wszechwiedzą Bożą a wolną wolą człowieka, przybliżyć ludzkiemu pojęciu, Tylko przybliżyć, bo głębia zagadnienia może być człowiekowi dostępna tylko w najwyższych pozamysłowych wlotach ducha.

Bratu Właście dziękuję za rozwinięcie w tradycyjnych terminach moich uwag zbyt może zwiezłych (i ujętych w zgrzebnych pojęciach codziennych) o wolnej woli człowieka jako darze Bożym. Sądzę, że (wyłączając nieporozumienie, o którym mowa wyżej) jest to znakomite uzupełnienie mojego artykułu.

brat Paweł

Jaki wniosek z tego dla mnie?

Jedenasty zeszyt „Pracy nad sobą” przyniósł aż trzy artykuły dotyczące ubóstwa: „*Jak żyć franciszkańskim ubóstwem współcześnie*”, „*Urok bogactwa*” oraz „*Ludzkie dylematy*”. Było o czym rozmawiać. Mnie się nie podobało stawianie za przykład o Maksymiliana Kolbe z okresu jego działalności przedwojennej i to jeszcze chwalenie go za wydawanie „*Rycerza Niepokalanej*”. Miałam okazję widzieć tylko dwa przedwojenne numery tego czasopisma i nie podobał mi się ani prymitywny, dewocyjny ich nastrój ani szowinistyczna, antysemicka nuta. Mam głęboką cześć do o. Maksymiliana za jego męczeńską śmierć przez którą zdobył wiekiową chwałę i za całą jego bohaterską postawę w obozie śmierci, którą więcej niż tylko zrównoważył wszystkie swoje nacjonalistyczne grzechy, ale czy warto było wspominać jego dwuznaczną przeszłość przedwojenną. Czy nie można było znaleźć innego, bardziej jednoznacznego bohatera franciszkańskiej działalności wśród ubóstwa? Ale zresztą nie wiem, bo może właśnie o to idzie. aby i w tym co złe umieć znajdować elementy tkwiącego tam dobra?

Ale mam gorsze problemy. W drugim artykule napisane, że jak człowiek nic nie ma, to się nie musi bać złodzieja, natomiast skarbów duchowych nikt mu nie odbierze. Rozmawialiśmy o tym z

kożankami. Są wśród nas „wolne”, są mężatki z dziećmi. Jak tu się nie bać złodzieja, jak trzeba męża i dzieci ubrać i nakarmić. A nawet jak się jest tak zwaną samotną, to się zawsze ma zobowiązania wobec jakiejś rodziny i sąsiadów i samym duchem się tych zobowiązań nie wypełni. A już, kiedy przeczytałyśmy w trzecim artykule, że Marta - Gospodyni, przyjmując w Betanii Chrystusa „*zapomniała o Bogu, starając się jak najlepiej zaprezentować swój dom... oraz gościnność pojętą po ludzku*”, tośmy wszystkie powiedziały, że nie prawda. Ona o Bogu wcale nie zapomniła, chciała właśnie godnie Go przyjąć i to nie tylko po ludzku. Chrystus przecież Marty nie potępił, choć więcej pochwalił jej siostrę, a Kościół od wieków czci Martę jako świętą. Podobno „*Betania*” znaczy po żydowsku tyle, co przytułek dla biednych¹ i to właśnie dlatego, że tam Marta opiekowała się bezdomnymi. Wielu z tych, co ją potem naśladowali, jak na przykład brat Albert, też zostało uznanych za świętych

Słowem te trzy artykuły tośmy rozważały kilka dni. Zastanawialiśmy się na przykład nad końcowymi stwierdzeniami brata Zdzisława o „*zewewnętrznych strukturach zakonnych*”, które mogą pomóc w świętym życiu, ale mogą „*stać się parawanem*” dla złego. Myślę sobie, że może to wszystko jest pisane tylko dla mieszkańców zamkniętych klasztorów i tylko dla nich ma znaczenie. A ponadto jakie to struktury, które się mogą stać parawanem? My wszystkie w żadnych ani zewnętrznych, ani wewnętrznych strukturach zakonnych nie jesteśmy, ale jesteśmy mariawitkami i chcemy żyć po franciszkańsku. Przecież od początku mariawityzmu wszyscy uczestnicy Dzieła Miłosierdzia tworzyli jeden wielki Związek Nieustającej Adoracji Ublagania², do którego należeli i kapłani i siostry bogomyślne, i siostry czynne i bracia służebni i tercjarze i ludzie „*świeccy*”. Ale tak naprawdę, to świeckich nie było bo wszyscy byli przepojeni franciszkańskim duchem. I przecież kiedyś stan duchowny, jako stan odrębny został w mariawityzmie zniesiony i nikt go nigdy nie przywracał znowu i dlatego mówimy do kapłanów „*bracie*”, a nie „*ojcze*” ani „*księżu*”.

Ja uważam, że są różne powołania i można oczywiście dawać różne szczegółowe wskazówki jak postępować kiedy się jest kapłanem, albo jak pracować gdy się jest urzędniczką. Inne dla samotnego mężczyzny, inne dla matki dzieciom, ale wszystkie szczegółowe wskazówki powinno się wyprowadzać z ogólnego ducha św. Franciszka z Asyżu. Inaczej, to będziemy tylko budowali te wspomniane „parawany” za którymi będzie się działać czasem dobrze a czasem źle.

Myślałyśmy jak przekształcić dewizę św. Maksymiliana, pochodzącą z czasów jego przedwojennej działalności „*W podartym habicie najnowocześniejszym samolotem*”, aby była ważna dla wszystkich synów i córek św. Franciszka. Jedna z dziewczyn usiłowała ją przeformułować dla siebie tak: „*w podartej kiecce za najnowocześniejszym biurkiem*” i wszystkieśmy się zaczęły śmiać. Bo przecież wcale nie idzie o to aby kiecka była podarta, ani o to, aby biurko było nowoczesne, tylko żeby i jej strój i biurko najlepiej służyło temu zadaniu jakie ma do wykonania, aby jak najlepiej służyły woli Bożej. I chyba od tego trzeba wyjść, Bo czy habit musi być akurat podarty? Czy samolot musi być akurat najnowocześniejszy? Czasem bardziej celowe może być użycie nowouszytego habitu i starego, aby dobrze działającego samolotu, albo i konnej fury zamiast niego. Wszystko zależy od konkretnej sytuacji. Mogą być różne szczegółowe i pożyteczne przepisy, ale podstawą życia św. Franciszka było wykonywanie we wszystkim woli Bożej.

Człowiek ma różnych zwierzchników w ciągu życia: najpierw rodziców i nauczycieli, potem brygadzystów, kierowników, dyrektorów, biskupów, niektórzy mają przełożonych zakonnych. Ja sobie tak myślę, że trzeba tych wszystkich zwierzchników słuchać, dopóki nam nie każą robić złych rzeczy, bo są naszymi zwierzchnikami z woli Bożej. Ale czyich rozkazów i poleceń byśmy nie wypełniali, trzeba się przede wszystkim starać, aby nasza działalność służyła Bogu i ludziom i to jest podstawą franciszkańskiego życia. Im ktoś więcej potrafi działać tylko ze względu na dobro innych ludzi i na miłość

Boga, tym jest lepszym franciszkaninem. Napisałam „im więcej potrafi działać”. Bo można sobie również tylko wyobrazić że się działa dla ludzi i Boga, a działa się dla własnej fantazji. Sama wiem po sobie, że to tak bywa.

I tu możecie powiedzieć że za daleko zabrnęłam, że się zaplątałam, bo zaczęłam rozważania od sprawy franciszkańskiego ubóstwa, a doszłam do woli Bożej i z tego można wyciągnąć wniosek, że jak jest wola Boża abym był biedny, to będę, a jak nie, to się mogę otoczyć bogactwem. To by było równoważne temu, żeby powiedzieć, że jak jest wola Boża. powinienem być ubogim franciszkaninem, a jeśli nie, to franciszkaninem być nie muszę, co oczywiście też jest prawdą, ale my się tu zastanawiamy właśnie nad tym jacy powinni być ci, co chcą iść drogą św. Franciszka która, jak to słusznie już po raz drugi pisze brat Zdzisław, jest drogą ubóstwa.

I właśnie mi się zdaje, że franciszkańskie ubóstwo ślicznie wynika prosto z woli Bożej. Słyszałam kiedyś kazanie jednego z naszych kapłanów na temat Ewangelii „o niesprawiedliwym włodarzu”³. Zapamiętałam z tej nauki tyle, że wszystko na świecie jest własnością Boga, a my jesteśmy tylko „administratorami” jego majątku w takim zakresie, w jakim on nas powołał. Nic nie mamy własnego z wyjątkiem własnej duszy. Gdy dajemy komuś jakikolwiek prezent, to szafujemy własnością Bożą, a Bóg chce abyśmy z jego własności rozdawali innym, aby celowo i rozsądnie.

Ustaw opartych o franciszkańskie reguły mamy wiele. W niektórych zakonnik czy zakonnica nie może mieć niczego własnego, ale dany klasztor czy dany zakon może mieć dowolne bogactwa. I tu chyba tkwi nieporozumienie. Ani ten habit, o którym mówił (dawno, dawno, gdy jeszcze był daleki od świętości, do której dążył) św. Maksymilian, nie był jego osobistą własnością, ani ten wymarzony samolot nie byłby własnością jego klasztoru. I to i to i wszystko inne mogło być wyłącznie własnością Bożą. On zaś sam i wszyscy jego współbracia mogli tylko administrować tymi dobrami Bożymi. I im

więcej rzeczy uważali za własność swoją osobistą, lub za własność swojego klasztoru, tym bardziej odchodzili od franciszkańskiego ubóstwa. Bo nie ma istotnej różnicy między własnością osobistą i wspólną. I ta i ta jest tylko pozorem i przywłaszczeniem. Natomiast pewne przedmioty użytku zarówno osobistego jak wspólnego pozostają pod zarządkiem, administracją tych czy innych osób.

Być dobrym administratorem to tak, jak z ewangelicznej przypowieści o nieuczciwym włodarzu wynika, myśleć też i o sobie. Ale w przeciwieństwie do tej przypowieści trzeba myśleć o sobie tak, jak i o innych („kochaj bliźniego jak siebie samego” - to trudno, ale można). O czyje dobro i w jakim zakresie mam się starać, to już wynika ze szczegółowego przydziału zadań. Inne troski ma furcian w klasztorze, inne proboszcz parafii, inne matka wychowująca swoje dzieci, inne dyrektor fabryki, inne biskup stojący na czele diecezji.

Mogę pozostając wierną córką św. Franciszka administrować autobusem czy samolotem należącym formalnie do klasztoru, ale mogę także nimi administrować w pełnym duchu franciszkańskim, gdy formalnie są moją prywatną własnością. I w jednym i w drugim przypadku tak naprawdę są tylko własnością Boga.

Ja tak uważam, że aby być dzieckiem św. Franciszka nie wolno niczego uważać za swoje. I to nie może być żadna formułka, ani teoria. To musi zapaść głęboko w przekonanie i praktykę. Ja naprawdę muszę tak wszystkim administrować, aby czuć, że to nie moje. Jeśli muszę z rzeczy Bożych danych pod mój zarząd więcej dawać mojej matce staruszce lub moim dzieciom, jeśli je mam, niż innym ludziom, to tylko dlatego, że było wolą Bożą abym tę staruszkę i dzieci miała pod swoją opieką. Ale w biegu wypadków może się ułożyć potrzeba, abym więcej niż własnej matce, lub niż sobie samej dała komuś zupełnie obcemu, abym w pewnej sytuacji bardziej zadbała o obce dziecko niż o swoje własne.

Myślę, że tu się łączy w jedno zasada pełnienia woli Bożej z zasadą franciszkańskiego ubóstwa. Właściwie wystarczy aby

franciszkanin ślubował wypełnienie woli Bożej⁴, to w tym się już zawiera i franciszkańskie ubóstwo i wszystko inne co jest w franciszkanizmie.

I żeby nikt nie rozumiał, że te trzy artykuły z 11. zeszytu „Pracy” były złe, czy niepotrzebne. One mi dały bardzo wiele. Ja chciałam tylko pewne ich stwierdzenia nieznacznie zmodyfikować i razem powiązać. Czy to dobrze zrobiłam, nie wiem.

Dominika

¹ „Betania” znaczy po hebrajsku nie tyle ‘prztyłek biednych’ ile ‘dom biednych’.

² Nie całkiem od początku. Projekt Statutu Związku Katolickiego Nieustającej Adoracji został przedstawiony papieżowi dopiero w grudniu roku 1903, a więc przeszło w 10 lat po powstaniu mariawityzmu. Sam Związek został ostatecznie zorganizowany jeszcze później

³ Łuk. 16; 1 - 9.

⁴ W naszym Zgromadzeniu Mariawitów składamy właśnie tylko śluby pełnienia woli Bożej.

(wszystkie przypiski pochodzą od redakcji)

Zamiast Pacierza

*Jakże mam dzisiaj modlić się do Ciebie?
Nie wiem gdzie mieszkasz, nie wiem czy mnie słyszysz.
Nie chcę zakłócać Ci przedwiecznej ciszy
W Twoim królestwie w Niebie.*

*Modląc się patrzę na metal, gips drewno;
Choć wiem, że są to tylko symbole.
Ja na rośliny, gwiazdy patrzeć wolę.
Tam jesteś na pewno.*

Po wsze czasy ustaliłeś mechanizmy świata.
Ja jestem kółkiem tej Twojej maszyny.
Czy kółko może pytać o przyczyny
Figli, które los mu płata?

Czy może krzyczeć, że chciałoby inaczej?
Że może lżej, bezpieczniej lub prędzej?
Czy Ty dostrzegasz moje podniesione ręce?
Czy coś dla Ciebie znaczę?

Przy Twojej mocy jestem tylko prochem.
Zbyt słaby jestem by zrozumieć siebie.
Więc po co ciągle próbuję za Ciebie
Decydować choć trochę?

A może jesteś ode mnie tak blisko,
Że ja sam jestem dalej od siebie?
O co więc mógłbym Cię prosić? Nie wiem.
I tak wiesz o mnie wszystko.

Nie proszę Cię byś los odmienił, Panie,
Zmienił me miejsce w czasie i przestrzeni.
Czy Ty w ogóle zechciałbyś coś zmienić
W swoim planie?

Moje słabości tak łatwo obnażasz.
Wiesz co we mnie tombak i wiesz co jest złoto.
O co więc mam Cię prosić? Czy ciągle o to
Byś robił co uważasz!?

Nie proszę o pieniądze, szczęścia nie dają.
Dla ciała co lepsze też wiedzieć nie mogę.
Chciałbym tylko odkryć tajemniczą drogę
Do Twego raję.

Nie mogę też nic obiecywać Tobie.

Złe obietnice zbyt często dawałem.
I wiem, że Ty już przez wieki całe
Wiedziałaś co ja zrobię.

Jedno Ci tylko ofiarować chciałem:
Moje szukanie, moje życie, moją trwogę.
Ale i tego zrobić już nie mogę,
Bo to też już miałeś.

Mogę Ci tylko bez końca dziękować
Za to że czuję, że myślę, że jestem,
Za to że chciałbym, za to że próbuję,
Za to że mogę...

Ci podziękować!

Marek Suder

=====

DRODZY CZYTELNICY! Wystarczająca liczba prenumerat umożliwiła nam, zamiast kserowania, drukowanie oraz zwiększenie nakładu naszego aperiodyku. Dysponujemy obecnie dodatkowymi egzemplarzami każdego zeszytu, które możemy, jako egzemplarze okazowe, bezpłatnie przesłać dalszym potencjalnym prenumeratorom. Jeśli znacie osoby, które mogłyby być zainteresowane „Pracą nad sobą”, a dotąd jej nie mają, prześlijcie ich adresy, a w miarę posiadanych zapasów wyślemy im po egzemplarzu okazowym z zachętą do prenumeraty. Ponadto przypominamy, że każdy może zaprenumerować nasz aperiodyk swoim przyjacielom jako prezent, co niektóre osoby już zrobiły.

Redakcja

=====

CZŁOWIEK W TERAŻNIEJSZOŚCI

Z cyklu artykułów zamieszczonych w zeszycie 11. „Pracy nad sobą” wynika, że człowiek w życiu doczesnym winien z dołożeniem staranności rozkładać akcenty dotyczące ducha i materii (str. 4. - 12.). Bez prawidłowego wyważenia proporcji między tymi sprawami nie da się zachować istoty człowieczeństwa. Człowiek przedkładający sferę ducha nad materię dąży do możliwie najpełniejszego połączenia się z Bogiem. Zaniedbując sferę materialną, w sytuacji gdy żyje w środowiskach odrzucających przeżycie duchowe, uważany jest za niezaradnego. Jest wtedy skazany na życie na marginesie spraw świata. Przeciwnie, jeśli ktoś poświęci zbyt dużo uwagi sferze doczesnej, zapomni o powinnościach ducha. Materia stanie się w takim przypadku przeważającym celem życia, przyćmi Ideę i od tego momentu zacznie się degrengolada człowieka jako dziecka Bożego.

Faktem jest, że w tak zwanych gospodarczo rozwiniętych państwach członkowie tamtejszych społeczeństw przeżywają wiele napięć określanych jako stresy. Mimo pomocy lekarsko-psychologicznej, wychodzenie z tych stanów napięć nie jest rzeczą prostą. Stresy w wielu przypadkach kończą się nieodwracalnymi schorzeniami, śmiercią lub inwalidztwem. Istnieją dowody, że uniknięcie stresu przez człowieka byłoby możliwe, gdyby był on w praktyce istotą bardziej refleksyjną, zastanawiającą się nad swym ziemskim powołaniem, patrzącą „w głąb siebie”. Zanurzenie się bowiem bez reszty w codzienności nie tylko zuboży człowieka intelektualnie, ale ogranicza lub nawet wyłącza jego sferę duchową. Cierpiący z tego powodu duch człowieka, pozbawiony możliwości rozwoju, wywołuje w sferze psychiki stres. Zastanówmy się, czy istnieją szanse w dzisiejszym pośpiechu dnia codziennego, jeżeli nie wykluczenia, to ograniczenia zniechęceń, załamań i stresów.

Bezsporne jest, że człowiek w czasie życia na Ziemi musi się uczyć, pracować i współżyć z innymi ludźmi. Człowiek na Ziemi ma obowiązki rozliczne, które można ogólnie określić jako pracę. Obowiązek pracy zapisany w Piśmie Świętym, nie tylko nie może być uznany za karę nałożoną na człowieka, ale prowadzi do uszlachetnienia ludzi. Dobrze pracować, to innymi słowy rozwijać się, doskonalić, aby odpowiedzieć wyzwaniom życiowym. Zrealizujemy

jednak w pełni ziemskie zadanie „pracy”, gdy zachowamy proporcje między pracą duchową, a pracą dla zapewnienia fizycznego bytu na Ziemi. Człowiek ma (co wynika z Bożego Przykazania i wymogów fizjologii) obowiązek odpoczynku po pracy. Odpoczynek ten doraźnie realizujemy przez właściwe wykorzystanie czasu dobowego po zakończeniu pracy zawodowej. Intensywniej odpoczywamy podczas dni wolnych od zajęć zawodowych (święta, urlopy) regenerując utraconą energię. Ale sam wypoczynek fizyczny nie wystarczy człowiekowi, ponieważ prowadzi on tylko do jednostronnie odbudowanej materii. W czasie wolnym od pracy należy się zająć także doskonaleniem ducha, co pozwoli na zachowanie w dobrej formie naszego intelektu, a także wzbogaci nasze życie. Doskonalenie ducha jest możliwe i konieczne tak z życia codziennym, w okresie dobowym, jak i od święta i w czasie urlopu.

Doskonalic ducha można na różne sposoby. Niepodważalne będzie twierdzenie, że duch człowieczy doskonali się przez modlitwę. Modlitwa może przyjmować różne formy - od instytucjonalnej, określanej przez Kościół, do indywidualnej improwizacji człowieka włącznie. Modlić się, to rozmawiać z Bogiem. Ta „rozmowa” może się odbywać za pośrednictwem tekstów modlitw zalecanych przez Kościół, jak i przez proste, własne odniesienie się do Boga. Za Bożym przyzwoleniem człowiek ma prawo zbliżyć się w modlitwie do Bożego Majestatu. Bóg pozwala w czasie modlitwy na oczyszczenie sumienia, na doskonalenie ludzkiego ducha, na swoiste higieniczne zabiegi psychiczne. W modlitwie uwielbia się dzieła Boga i Jego Samego, a także składa się dzięki za to, co Bóg uczynił dla człowieka. Bóg pozwala podczas modlitwy na prezentowanie naszych przemyśleń i zgłaszanie prośb do Niego. Jednego tylko nie wolno człowiekowi - targowania się z Bogiem, a także swoistego kupczenia naszą wolną wolą. Dlatego modlitwa nie może być *sui generis* handlem, ofiarowaniem Bogu naszych działań czy zaniechań w zamian za spełnienie przez Boga naszych prośb. Bogu się warunków nie stawia !!!

Człowiek może się modlić prawie wszędzie, prawie w każdych warunkach. Uproszczeniem byłby pogląd, że się trzeba i

można modlić tylko w kościele, a jeszcze większym, że tylko w czasie nabożeństwa. Truizmem będzie powtarzanie, że udział we Mszy Świętej jest najważniejszy dla członka rodziny katolickiej, zaś częsta i godna Komunia Święta należy do obowiązków mariawickich. Jednak usprawiedliwianie się brakiem możliwości pójścia do Kościoła i rzekomą niemożnością wtedy modlenia się, jest błędem i grzechem. Czerpiąc porównania z naszego życia zawodowego trzeba przyjąć, że modlitwa jest tym samym dla ducha, czym doskonalenie zawodowe dla wiedzy fachowej. Im się więcej doskonalimy zawodowo, tym się stajemy sprawniejszymi pracownikami; im więcej się modlą i tym samym doskonałą duchowo, tym osiągamy większy stopień zbliżenia z Bogiem. Modlitwa pobudza refleksyjność człowieka, pozwala na zastanowienie się nad naszym ziemskim powołaniem, a to prowadzi do zrozumienia przyczyn naszego załamania psychicznego, które w jakimś momencie możemy przeżywać. Modlitwa będzie nas broniła od stresu i innych przeciwności, które gotuje nam codzienność.

Zanim podsumujemy te wywody zatrzymajmy się jeszcze nad twierdzeniem, że człowiek żyjący w codziennym „młynie życia” nie ma czasu na systematyczną modlitwę. Twierdzenie to nie może się ostać, gdy się poważnie zastanowimy nad tym, co wyżej napisano. Jeżeli się mogą modlić także poza kościołem, choć obecność na Mszy Św. jest moim obowiązkiem, to również w szarej codzienności mogę i muszę znaleźć czas na modlitwę. Uświadommy sobie, że zmówienie codziennego, najprostszego, nauczonego w dzieciństwie pacierza zajmuje nam jedynie około czterech minut. Jeżeli przed snem odmówię modlitwy wieczorne z brewiarzyka mariawickiego, zajmie mi to około dziesięciu minut. Brewiarzykowa adoracja Przenajświętszego Sakramentu odprawiana indywidualnie, bez pieśni, wymaga poświęcenia 20 - 30 minut. Rozmyślać zaś o Bogu i Jego sprawach mogę w drodze do lub z pracy, podczas spaceru lub wypoczynku. W tym czasie można poświęcić na sprawy ducha pięć do dziesięciu minut i strat w zabiegach około ziemskich nie będzie. Dodam, że w przypadku niemożności uczestnictwa w okresowych nabożeństwach (majowe, różańcowe) mogę indywidualnie na tego rodzaju modlitwę przeznaczyć także około dwudziestu minut. W sumie

się okazuje, że można się modlić w naszej codzienności, a znalezienie czasu na modlitwę zależy od naszej dobrej woli i potrzeb ducha. Pamiętajmy - „nie samym chlebem żyje człowiek” (Łuk.4:4).

brat Józef

RECENZJE

STANISŁAWOWI JANOWI ROSTWOROWSKIEMU KU ROZWADZE

Motto: „Co widział uczony Koszałek Opalek, to spisał
wiernie, a czego nie widział i nie słyszał, to zmyślił tak
pięknie, iż przy czytaniu tej książki serca
rosły”.

wszystkim

(M. Konopnicka „O krasnoludkach i sierocie

Marysi”)

Z mieszanymi uczuciami czytałem rozważania J.S.Rostworowskiego „Socjologiczna metoda ujęcia mariawityzmu”¹. Ponieważ uwag mam wiele a miejsca w „Pracy nad sobą” użyczono mi mało, muszę się ograniczyć do rzeczy najważniejszych i podkreślić istotne błędy, a nawet zmyślenia, których się dopuścił S.Rostworowski. Przechodząc do meritum wyjaśnię tylko Czytelnikom, że każde powołanie się na liczbę strony w tym tekście bez bliższego określenia będzie oznaczało odniesienie się do pracy S.Rostworowskiego.

Nie chcę się w szczegółach odnosić do zarzutów Rostworowskiego podważającego sposób pisania prac z zakresu historii ruchów religijnych (str. 399), ale wydaje mi się, że pisząc recenzję z opracowania K. Mazura, sam Rostworowski lepszej metody nie wybrał. Wykaże to w dalszych rozważaniach. Wobec tego uważam że jest sporym przerysowaniem przez niego podważanie metody, którą przyjął w swoim opracowaniu K. Mazur.

Zdumiała mnie niewiedza człowieka biorącego się za recenzowanie pracy o mariawityzmie w zakresie znaczenia terminu

'Dzieło Wielkiego Miłosierdzia' (str. 400). Są bowiem dwa znaczenia tego określenia, jako określenie dzieła złożonego przez Pana Jezusa w ręce Mateczki i jako tytułu książki. Wyjaśnię więc na tym miejscu S.Rostworowskiemu, że K.Mazur przywołując to określenie cytował dzieło opracowane pod tym tytułem wydane przez Kościół Mariawitów, a obejmujące objawienia F. Kozłowskiej, krótką historię ruchu mariawickiego z jego początków oraz listy Mateczki, reguły zgromadzeń itp.

Dość dowolnie wywodzi Rostworowski, że „Credo” mariawickie ogłoszone przez ks. J.Kowalskiego, a wskazujące F.Kozłowską jako wybraną Bożą (str. 401) spowodowało ekskomunikę papieską dotyczącą głównie Założycielkę i ks. Kowalskiego. Jeżeli pilny badacz prześledzi wszystkie dekretalia papieskie, a także akcje kościelne antimariawickie z okresu poprzedzającego ekskomunikę (w szczególności orzeczenie Kongregacji Świętej Inkwizycji z 1903 r.) dojdzie do wniosku, że ruch mariawicki od początku ujawnienia go wyższym władzom kościelnym był skazany na niepowodzenie w Kościele Rzymskim. Należało tylko podziwiać uporczywość, z jaką kapłani mariawici pragnęli legalizacji w ramach Kościoła Rzymskokatolickiego, który się bronił przed rzetelnym ocenieniem Objawień i założeń związku kapłanów mariawitów. Dlatego uważam, że ocena skutków mariawickiego „credo” dokonana przez S.Rostworowskiego jest powierzchowna i nieprawdziwa. W ten sposób można usiłować wybielać postępowanie hierarchów rzymskich w stosunku do mariawitów, ale nie oceniać przyczyny i skutki. Takie postępowanie nazywamy jednoznacznie manipulacją. Ta zaś rozważaniom podobno naukowym nie przystoi !!!

Niezmiernie frapujące i na swój sposób „nowatorskie” są rozważania dotyczące uzależnienia mariawitów od caratu (str. 401-406). Po poznaniu sposobu rozumowania S.Rostworowskiego można wyciągnąć wniosek, że gdyby nie domniemane ambicje, gry i knowania ks.J.Kowalskiego, nie doszłoby do wydalenia mariawityzmu z łona Kościoła Rzymskiego. Szczególnie te gry ks. Kowalskiego - jak chce tego Rostworowski - ogromnie się przydały caratowi w jego walce z Kościołem Rzymskokatolickim. Dla ratowania swego sposobu

rozumowania autor przywołuje termin jedności narodowo-katolickiej, zapominając, że na przełomie XIX i XX wieku coś się w tej „jedności” załamało, szczególnie po powstaniach narodowych, w których rola rzymskiego Kościoła jest znana (nie mówię o indywidualnych działaniach poszczególnych duchownych, którzy je przypłacali represjami ze strony i caratu i hierarchii). Poza tym stawianie jedności między narodem, a Kościołem Rzymskim w historii Polski znalazło już właściwą ocenę. Dużo wcześniej niż w początkach XX wieku przestano szukać w pałacach biskupich oraz w Watykanie poparcia dla ruchów niepodległościowych. Wystarczy wspomnieć choćby Mickiewicza, czy Słowackiego, nie wymieniając innych. Powstawały już nowe siły, które bezsprzecznie odegrały istotną rolę we wprowadzeniu Polski na nowo do grona państw niezależnych. Gdyby S.Rostworowski zechciał rzetelnie zbadać historię ziem zaboru rosyjskiego przed I Wojną Światową, mógłby z łatwością ustalić, że wszystko, co się tu działo oficjalnie musiało mieć akcept władz carskich. Nawet przyznanie orderów, także rosyjskich (a było tych orderów i apanaży sporo), poszczególnym biskupom rzymskim rezydującym w diecezjach pod zaborem rosyjskim musiało mieć najpierw pozytywną ocenę właściwego generał-gubernatora. Także wyjazd diecezjalnego biskupa na wizytację parafii uzależniony był od zgody tej władzy. Aby nie wchodzić w szczegóły odsyłam do prac ks.prof. Stopniaka z A.T.K. dotyczących bpa Jaczewskiego i diecezji przez niego kierowanych. Koniec XIX wieku w zaborze rosyjskim to wielkie ograniczenie zakonów rzymskich i równocześnie wierne podporządkowanie się rzymskich biskupów prawom narzuconym przez carat. Ale inaczej być nie mogło. Dlatego większość działalności zakonnych musiało być prowadzonych w ukryciu, czego przykładem zgromadzenia honorackie i sądę, że warto tu odesłać do pracy M.Werner o Honoracie Koźmińskim. Tam nie ma apologii mariawityzmu, więc treść powinna być łatwo przyswajalna autorom pokroju S.Rostworowskiego.

Faktem jest, że o rodzącym się, nowym zgromadzeniu księży pragnących odnowy ducha w Kościele, wiedział tylko o.Honorat i diecezjalne władze płockie. Podróż F. Kozłowskiej i księży

mariawitów do Rzymu w 1903. r. to także chęć ujawnienia zasad Zgromadzenia tylko władzom kościelnym, czyli zachowanie tajemnicy przed władzami carskimi. To dekret inkwizycji z roku 1904. ujawnił po raz pierwszy publicznie istnienie ruchu mariawickiego, a formą szczególnej denuncjacji w stosunku do władz carskich był okólnik abpa Popiela skierowany do duchowieństwa diecezjalnego, stanowiący dopełnienie dekretu inkwizycyjnego. Okólnik ten w podtekście miał za zadanie pokazać władzom carskim. że się coś tajnego dzieje w Kościele i za pośrednictwem tychże władz rozwiązać problem mariawicki. Mając na uwadze naruszenie przez mariawitów carskiego zakazu zrzeszania się, należało się spodziewać carskich represji. Dekret i ten okólnik były w stylu inkwizycji kościelnej - my osądzamy, a władza świecka niech czyni swą powinność. Właśnie w konsekwencji tego dekretu i okólnika kapłani mariawici ujawniają się władzom carskim - warszawskiemu generał-gubernatorowi. To był jedyny możliwy ratunek przez policyjnymi karami.

Mija się z prawdą S.Rostworowski pisząc (str.402), że księży mariawicy byli nielojalni w stosunku do papieża jadąc z Rzymu do Petersburga. Odwrotnie, mimo potępienia inkwizycyjnego z 1904 r. księży ci starają się jednak przekonać Rzym do swej idei. Jakoś żaden z badaczy problemu nie podjął tego wątku, że te usilne starania księży mariawitów prowadzą jedynie do wniosku że, widząc niechęć lokalnego episkopatu, pragnęli oni zgromadzenia zależnego bezpośrednio od papieża, a nie od biskupów rezydujących w zaborze rosyjskim. Jeżeli ci księży byli przekonani o słuszności swego działania i nie mogli przekonać „ojcowskiego serca Piusa X”, to albo trzeba było wyjść z Kościoła Rzymskiego i organizować odrębny związek religijny, albo zaniechać swego powołania, odrzucić misję daną przez Boga Założycielce. Przyjmując pierwsze rozwiązanie i mając przekonanie o Bożej misji, musieli uzyskać uznanie władz świeckich, a te w tym czasie mieściły się w Petersburgu.

Rostworowski zastanawia się jakie profity oferowali caratowi mariawici (str. 402). Proszę mi wybaczyć, że się utrzymam w detektywistycznej konwencji autora i wtedy dojdę do wniosku, że te rzekome „profity” musiały być większe od tych, jakie papież Pius X

oferował caratowi w rozmowach z carskimi dyplomatami w Rzymie. Otóż „*Archiw wnieśniej politiki Rossii*” ujawnia wiele rozmów papieża i dyplomatów watykańskich (w tym słynnego pogromcy mariawitów kardynała Merry del Val) w latach 1905/1906 z przedstawicielami carskimi: Narszykinem, Saznowem i Bulacelem. Z rozmów tych wynika, że papieżstwo lękając się rozwoju ruchu mariawickiego proponowało caratowi współpracę w zwalczaniu rozruchów wewnętrznych w cesarstwie. Co więcej sam kardynał Merry del Val denuncjuje mariawitów przed władzami rosyjskimi jako socjalistów. Może S. Rostworowski zastanowi się co to znaczyło w owym czasie! Papież zresztą wypełniając swe zobowiązanie wobec caratu wydaje encyklikę adresowaną do biskupów polskich nakazującą potępienie rewolucji 1905.r. Zechce S.Rostworowski zwrócić uwagę na daty tych rozmów oraz encykliki i na wydarzenia, które wstrząsały w tym czasie cesarstwem rosyjskim, a tereny polskie były wtedy objęte szczególnie silnymi zamieszkami. Niektórzy historycy uważają nawet, że to nie była rewolucja społeczna, lecz kolejne powstanie polskie, walka o niepodległość. Wobec tego poddaje autorowi omawianej pracy kolejny problem do przemyślenia: kto i w jakim celu rozbijał w tym czasie tę wspomnianą „jedność narodowo-katolicką”?! Bardzo mi się podoba na tle powyższych faktów podnoszony przez Watykan i przytaczany przez Rostworowskiego (str.403) zarzut, że mariawici byli obłudni. Twierdzenie to nabywa szczególnego znaczenia na tle „wartości chrześcijańskich” tak ostatnio eksponowanych. Aby skończyć temat poparcia caratu dla mariawitów muszę koniecznie powiadomić nowatora w sprawach mariawickich, że nawet władze kościelne rzymskokatolickie nie były pewne tego carskiego poparcia, bowiem w pewnym okresie „*Ateneum kapłańskie*” przyznało, że dowodów na poparcie carskie nie było, ale znaleziono dowody, że mariawitów popierał rząd Rzeszy Wilhelma II. Ciekawe kogo się jeszcze dopisze do popleczników mariawickich? Co do zezwoleń władz carskich na erygowanie parafii mariawickich, warto się zapoznać z prawem z tego zakresu obowiązującym w owym czasie. Wtedy autor nie będzie tak jednoznaczny w swoich ocenach. Zalecić także należy Rostworowskiemu, aby na temat rangi i roli

dekretu tolerancyjnego z 1905.r. zechciał się zapoznać z tym, co pisali znawcy przedmiotu profesorowie Świątkowski, Sawicki i inni. Wtedy wnioski ze str. 403-405 wypadnie istotnie zrewidować. Ja już tego czynić nie będę.

Rolę gen. Kirijewa należy oceniać nieco głębiej, niż to czyni Rostworowski. Może warto sprawdzić, jak rolę tego dostojnika carskiego ocenił biskup Urs Küry w książce „*Die Altkatholische Kirche*”². Także nieprawdą i zupełną naiwnością jest twierdzenie że termin ‘*ekumenizm*’ uzyskał właściwe znaczenie podczas Vaticanum II (str.404). Może warto wyjaśnić dla kogo termin ten został w tym czasie zdefiniowany. Ekumenizm był głoszony dużo wcześniej i nie powstał on w kręgach rzymskich. Mogli więc myśl ekumeniczną rozwijać już w początkach XX wieku protestanci i starokatolicy. mogli się nią interesować prawosławni, ale nie rzymskokatolicy.

Aby zakończyć rozważania o okresie sprzed odzyskania przez Polskę niepodległości, zatrzymam się krótko przy tezie historyka - S.Rostworowskiego, o praktycznym odsunięciu bpa Kowalskiego od władzy w Kościele Mariawitów po zajęciu zaboru rosyjskiego przez wojska państw centralnych. Powołując się na fakt zamknięcia mariawickich kościołów na terenach zajętych przez wojska austro-węgierskie i na marginesową o tym wzmiankę w pracach S.Rybaka i K.Mazura twierdzi on, że w tym czasie „rusofil” i człowiek działający pokretnie - bp Kowalski został usunięty w cień (str.407). Rostworowskiego zawodzi tu brak wiedzy i intuicja detektywa. Może redakcja „*Pracy*” pozwoli mi w niedalekiej przyszłości szerzej na ten temat napisać. Dziś chcę przypomnieć tylko, że mariawickie kościoły zamknięto na podstawie austriackiego rozporządzenia z dn. 7.III.1916 r, a już w dniu 13.VI.1916 r, gdy interwencje mariawickiego duchownego z Lublina, ks. Szokalskiego nie dały rezultatu, bp Kowalski wystąpił w tej sprawie do generał-gubernatora w Lublinie, a potem do generał-gubernatora w Warszawie. Następnie bp Kowalski interweniował w roku 1917. w podległej austriacko-niemieckim zaborcom Tymczasowej Radzie Stanu w Warszawie. Opisany przez S.Rybaka i K.Mazura przypadek interwencji bpa Próchniewskiego oraz księży Rostworowskiego i Feldmana u von Beselera był tylko jednym

z przypadków interwencji mariawickich. Gdzie tu więc brak zdolności bpa Kowalskiego do reprezentowania Kościoła wobec zachodnich zaborców Polski, którymi jednak wysługiwali się co poniektórzy ziemianie polscy, ot choćby powołany przez Rostworowskiego „baron” Jan Konopka herbu Nowina (gdzież to polscy ziemianie mieli wtedy przedzoborowe uchwały sejmów szlacheckich zabraniające przyjmowania obcych tytułów). Teza o odsunięciu bpa Kowalskiego w tym czasie w cień jest całkowitym niewypałem. Wobec tego rozważania Rostworowskiego, Peterkiewicza („*The Third Adam*”³, a także recenzentów owej dość pokretniej książki⁴) w tej materii jawią się jako bezprzedmiotowe.

Osobną sprawą są dzieje Kościoła Mariawitów w okresie 1918-1939. Także brak mi miejsca, aby o tym problemie pisać więcej. Może odwołam się tylko do ustaleń Konstytucji Marcowej z 1921 r, która gwarantowała tolerancję wyznaniom innym niż rzymski katolicyzm. Mariawici byli mimo tego ograniczani i dokumentacja historyczna wykazuje, że w zakresie praw stanowili daleką grupę obywateli. Już samo ograniczenie do możliwości działania tylko w byłym zaborze rosyjskim nałożone na mariawitów świadczy o nietolerancji. Także stosunek władz i sądów do majątku mariawickiego w związku z odejściem kilku kapłanów do Kościoła Rzymskiego ma swe znaczenie. Rostworowski zaleca, aby porównać sytuację innych wyznań nierzymskokatolickich w Polsce w tym czasie, co łągodziłoby mariawicką dotkliwość w zakresie nietolerancji (str.407). Zgadzam się z tym, bowiem ówczesne władze polski realizowały politykę Watykanu, co po niewczasie przyznał nawet były minister Józef Beck w swym „*Ostatnim raporcie*”⁵. Ale to też sprawa na oddzielną pracę. może dziś zaleciłbym tylko S.Rostworowskiemu poznanie opracowań Świątkowskiego, Mysłka, Osuchowskiego i Krasowskiego.

Okres PRL w rozważaniach S.Rostworowskiego jest ujęty bardzo ogólnie. Może dlatego, że tak K.Mazur jak i S.Rybak zajęli się tym okresem (z różnych powodów) dość enigmatycznie. Kościół Mariawitów w tym czasie nie należał do „pieszczochów” ustroju, a próby włączenia go przez naciski administracyjne do innych struktur

kościelnych nie są znane ogółowi. Problem ten wymaga osobnego potraktowania. To samo należy odnieść do stosunku ówczesnego państwa do majątku kościelnego i możliwości misyjnych Kościoła. Mam nadzieję, że i te problemy staną się kiedyś przedmiotem opracowań - i to rzeczowych. Nie udało się S.Rostworowskiemu i innym podobnie myślącym stworzyć wizerunku późniejszego abpa Kowalskiego jako rusofila, gracza politycznego, człowieka pełnego osobistych ambicji, pragnącego wykorzystać ruch mariawicki dla swoich celów. Brak także dotąd próby obiektywnego spojrzenia na tego człowieka, o którym się pisze tylko źle i pokrętnie. Miał on w swej działalności okresy piękne i złe, ale nie był człowiekiem bezideowym.

Podsumowując te dość długie dywagacje muszę stwierdzić, że rozważania J.S.Rostworowskiego o mariawityzmie na tle książki K.Mazura dotknięte są poważnymi błędami merytorycznymi, a stosowana przez niego metoda detektywistyczna nie zdała egzaminu. Historia to nie sztuka, jak chciał Wyspiański, ale nauka i to nie tolerująca naginania faktów.

Ignacy Stobiecki

¹ J.S.Rostworowski „Socjologiczna metoda ujęcia Mariawityzmu. (na tle książki K.Mazura „Mariawityzm w Polsce” Kraków 1991 r.)” *Nasza Przeszłość*, Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce, Kraków 1997.

² Urs Küry „Die altkatholische Kirche, Ihre Geschichte, ihre Lehre, ihre Anliegen.” wydanie polskojęzyczne „kościół Starokatolicki - historia - nauka - dążenia”. Warszawa 1996.

³ Jerzy Peterkiewicz „The Third Adam” - London - Oxford University Press 1975.

⁴ S.Golowacz i T.Krawczyk - Przegląd historyczny, Warszawa 1981.

⁵ Tytuł oryginału „le dernier rapport” - rzecz w wersji polskojęzycznej nie była drukowana.

Zachęcamy czytelników do zabierania głosu na łamach naszego pisma. Prosimy o refeleksje, o dyskusję (aby nie złośliwą) o tezach przedstawionych przez naszych autorów, o przedstawianie własnych przemyśleń. Kto uważa, że nie umie pisać do druku, niech pisze tak, jak

potrafi, a my się już postaramy jego wypowiedź zredagować, nie zmieniając treści. Chcemy, aby nasze pismo było prawdziwym centrum wymiany myśli religijnej.

Redakcja

Z dziejów Zgromadzenia

5 Problem brewiarza

Niedługo po zawiązaniu naszej gałęzi Zgromadzenia wynikł ważny problem brewiarza. Za czasów ziemskiego życia Mateczki brewiarz odmawiali kapłani i klerycy oraz siostry bogomyślne. Pozostali członkowie Zgromadzenia też mieli wyznaczone wspólne lub prywatne modlitwy, nie miały jednak one charakteru brewiarzowego. Objawienia Dzieła Miłosierdzia mówią o tym jak ważne jest odmawianie brewiarza i napiętnują nie odmawianie lub złe odmawianie brewiarza¹.

Z teologii mistycznej wiadomo, że czymś innym jest najgorliwsza nawet modlitwa indywidualna wielu osób, czym innym gdy te same osoby modlą się wspólnie. Najważniejsze jest przy tym nie tyle przestrzenna bliskość w czasie modlitwy, choć i ta ma wartość, ile aby modlitwa była wypowiedziana tymi samymi słowami (wymawianymi głośno, lub tylko w myślach) i w tej samej intencji. Taka wspólna modlitwa może silniej wpływać na myśl i odczucia innych istot, a tym samym zmieniać świat. I tak, na przykład, dołączane przez wszystkich mariawitów zakończenie do aktu adoracyjnego św. Franciszka >>...*uwielbiamy Cię, dzięki Ci składamy, wynagradzamy Ci, błagamy Cię o nawrócenie i miłosierdzie dla świata*<< odmawiane co dzień od stu lat przez tysiące osób niewątpliwie się przyczyniło do odwrócenia najgorszych nieszczęść jakie mogłyby przyjść na świat. W żadnym jego zakątku, jak dotąd, zdecydowane zło nie zagnieździło się trwale. Podobne znaczenia mają słowa pochodzącej od Mateczki koronki do

Miłosierdzia Bożego >>*udziel nam i całemu światu łaski miłosierdzia*<<. Nie jest obojętne dla zła, które właśnie w obecnej epoce chce się trwale zakorzenić w świecie, że stale tymi samymi słowami jest zwalczane przez ludzi świadomych swego modlitewnego powołania.

W przypadku jakiegokolwiek grupy kapłańskiej odmawianie brewiarza ma jeszcze inne znaczenie. Kapłan to człowiek wykonujący *symboliczne* obrzędy. Prawdziwy symboliczny akt kultowy, to takie działanie czynności obrzędowych i słów, gdzie to co jest widoczne dla oczu, słuchu i innych zmysłów w świecie fizycznym ma swój drugi, realny składnik w świecie duchowym. Istnieją warunki rzeczywistości takiego symbolicznego działania, czyli - mówiąc tradycyjnym językiem teologicznym - warunki konieczne do tego, aby dana czynność była „ważna”. Wśród tych czynników występuje między innymi moralna czystość kapłana² oraz jego świadomość intencji działania. Nie ma kapłana, który mógłby mieć pewność, że jest w danej chwili na tyle czysty moralnie, aby sprawować na przykład Mszę Świętą. Co gorsza, często w czasie odprawiania świętych obrzędów, świadomość działania zakłócają wciskające się, rozpraszające myśli. Kapłan potrafi je zawsze po pewnej chwili wyrzucić i całość danego obrzędu bywa na ogół ważna, ale pewne jego fragmenty mogą przestać być prawdziwymi symbolami. To jest zagubić odpowiednik w świecie duchowym. Na przykład we Mszy Świętej modlitwa za daną osobę może pozostać tylko automatycznie wypowiedzianym słowem. Brewiarz kapłański odmawiany w danym kręgu, w danym kolegium kapłańskim powoduje tego rodzaju więź, że kapłan żadnej czynności nie dokonuje sam we własnym imieniu. Jeśli w danym kolegium kapłańskim panuje ogólna świadomość *sacrum* i dążenie do moralnego życia, to chwile rozproszenia uwagi danego kapłana są „wypełniane” przez innych kapłanów, którzy podobny obrzęd sprawują w danej chwili lub sprawowali uprzednio, oraz przez anioła (lub archanioła) opiekującego się daną grupą kapłańską. W takiej sytuacji nawet zakłócenie wywołane przez czasowe zbrukanie moralne jednego z nich może zostać czasem usunięte przez wzgląd na pozostałych. Tak więc istnienie brewiarza

(w kolegiach kapłańskich różnych rytów ma on różne nazwy) jest czymś niezmiernie ważnym dla wszelkiego kapłaństwa. Można wykazać historycznie, że w środowiskach chrześcijańskich, w których wygasła odmawianie brewiarza, powoli wygasła i *sacrum*. Należy też pamiętać, że jedni mogą odmawiać brewiarz za drugich. Na przykład w kościele prawosławnym pełne oficjum brewiarzowe odmawiają systematycznie tylko mnisi w klasztorach. Pozostali kapłani uczestniczą w tych oficjach tylko w niektóre dni.

Zgromadzenie Mariawitów było od początku, to jest od roku 1893 zgromadzeniem kapłańskim, które do odmawiania wspólnego brewiarza dopuszczało później również nie kapłanów, a mianowicie, oprócz nowicjuszy, wspomniane na początku siostry bogomyślne. Nasza świeżo zorganizowana w roku 1979. gałąź Zgromadzenia zrzesza nie tylko kapłanów, ale jej trzonem jest krąg kapłanów służących świadomie Dziełu Miłosierdzia. Znalazło to odpowiednie ujęcie w naszych *Ustawach* i musiało postawić problem brewiarza Zgromadzenia jako palący..

Egzemplarze ułożonego jeszcze przez arcybiskupa Michała a wydanego drukiem w roku 1923 „Brewiarza Eucharystycznego” znajdowały się w posiadaniu kilku naszych braci. Nigdzie natomiast nie można było kupić lub dostać dalszych egzemplarzy. Dzieło było już wtedy dawno wyczerpane, a co gorsza niedokończone. Jak każdy może sprawdzić, po stronie 702. znajduje się tylko strona tytułowa „Część druga - czytania na każdy dzień roku i officya świąt ruchomych”. Tekstu tych oficjów świątecznych nigdy nie wydrukowano. Oczywiście nie byłoby błędem powtarzanie i przez nas tych samych modlitw na każdy dzień tygodnia przez cały rok, ale uzyskanie potrzebnej liczby egzemplarzy było niemożliwe. Inną wadą tego brewiarza była jego zasada, aby wszystkie 150 psalmów odmówić co tydzień. Wraz z kantykami, hymnami, antyfonami i modlitwami wymagało to spędzenia na modlitwie około 2 godzin dziennie. Dla nas w większości prowadzących aktywne życie byłoby to bardzo trudne.

W samym początku naszego istnienia ustaliliśmy więc, że wspólnym naszym brewiarzem będzie aż do chwili dokładniejszych

ustaleń odmówienie: codziennie rano Symbolu Wiary (Składu Apostolskiego), w ciągu dnia - Pozdrowienia Anielskiego, zaś wieczorem - Modlitwy Pańskiej oraz antyfony maryjnej na dany okres roku kościelnego. Do tego wspólnego minimum każdy dodawał już tylko modlitwy według własnego uznania jak również indywidualne czytania biblijne. Ten schemat modlitw: rano „Wierzę” w ciągu dnia „Zdrowaś” i wieczorem „Ojciec nasz” do dziś pozostał u nas jako minimum, które zastępuje odmówienie całego brewiarza, jeśli absolutnie nie ma na to czasu.

Nieco później do tego minimum dodaliśmy „Psałterz Ducha Przenajświętszego”, którego egzemplarze felicianowskiego wydania z roku 1975. były jeszcze wówczas do nabycia. Ale i on nie zawierał żadnych oficjów świątecznych, ponadto chcieliśmy się jednak modlić również słowami psalmów biblijnych.

I tak kolejna nasza Kapituła Generalna wyłoniła trójosobową komisję brewiarzową. Komisja ustaliła, że brewiarz ma być ułożony tak aby 1) uwzględniał przede wszystkim treści eucharystyczne i maryjne oraz inne, dotyczące Dzieła Miłosierdzia Bożego, 2) posiadał strukturę modlitewną dawnego „Brewiarza Eucharystycznego” Zgromadzenia Mariawitów z r. 1923, 3) jego odmówienie zajmowało tylko po 10 minut czasu trzy razy dziennie, 4) obejmował najważniejsze święta Kościoła Powszechnego na zachodzie i na wschodzie, 5) każdy psalm był odmawiany przynajmniej raz w ciągu roku kościelnego nie robiąc wyjątków dla psalmów o tak zwanej treści szokującej, 6) tekst brewiarza dał się powielić na niewielkiej liczbie stron, szło bowiem o jak najtańsze wydanie brewiarza. W rezultacie każda modlitwa i każdy tekst zdecydowano podać w brewiarzu tylko raz, a w innych miejscach dać odpowiednie odsyłacze. Psalmów nie przepisywać w ogóle, lecz tylko podać ich numery przy odpowiednich oficjach. Taki układ okazał się w rezultacie niewygodny w użyciu, choć zapewniał minimalizację kosztów i możliwość noszenia brewiarza (razem z książeczką psalmów) w kieszeni marynarki.

I właśnie gdy skończyliśmy układanie brewiarza i pozostało już tylko przepisać co trzeba na maszynie i powielić na kserografie -

ogłoszono stan wojenny. Udało nam się po znajomości kupić dwie nowe taśmy do maszyny i przepisać tekst na odpowiednich formatkach po czym makietę brewiarza została schowana do szuflady bez nadziei na szybkie powielenie. Jednak Opatrzność Boża czuwała nad Zgromadzeniem.

W tym czasie nie wolno było podróżować bez zezwolenia władz. Pracując na Uniwersytecie Jagiellońskim stosunkowo łatwo było mi uzyskać „przepustki” na wyjazdy do Warszawy, z czego skwapliwie korzystałem. I oto rozmawiając w Warszawie ze znajomymi na początku roku 1982. pożałowałem, że zamknęte są wszystkie kserografy, a Zgromadzenie potrzebuje pilnie brewiarza.

- Ech, to drobiazg, możemy ci to odbić..

- Gdzie?

- Nie musisz dokładnie wiedzieć. Koleżanka pracuje w jednym z wojskowych zakładów graficznych dla potrzeb stanu wojennego. Chętnie to zrobi jako fuchę. Właśnie im przywieźli znakomity kserograf zarekwirowany „Solidarności”. Czy w tym waszym brewiarzu są jakieś treści polityczne?

- Nie. Same tylko modlitwy.

- To się da skserować nawet w obecności szefa, bo ulotki „Solidarności” na wszelki wypadek odbijamy tylko, jak szef nie widzi. A w ogóle to najciemniej pod lampą.

Łącznie z dwiema dodatkowymi podróżami do Warszawy trwało to ledwie miesiąc. Cena też była wyjątkowo niska - tylko za pracę. Niebawem 50 sztuk nakładu brewiarza w przyzwoitym kserograficznym wykonaniu, jakiego niegodne były czasem błędy i często krzywe litery naszego maszynowego pisma, zostało przewiezione do Krakowa. Wiozłem bez obawy, na wierzchu w walizce. Kamouflarzem była strona tytułowa z wybitym rokiem 1981. Antydatowaliśmy wydanie, żeby w razie jakichkolwiek pytań można było powiedzieć, że było to odbite przed stanem wojennym. Byliśmy wdzięczni i „Solidarności” na której wspomniałem kserografie (co prawda bez jej woli) rzecz została powielona i Ludowemu Wojsku Polskiemu, które nam bezpłatnie użyczyło papieru i toneru ze swoich

(pewnie też komuś zarekwirowanych) zapasów, ale przede wszystkim z całego serca - Bogu. Z oprawą nie było już żadnych problemów. Introligatorzy działali powoli, ale normalnie. Niebawem mogliśmy rozprowadzić brewiarz wśród sióstr i braci Zgromadzenia (na wszelki wypadek list okólny o brewiarzu też antydatowałem), a także uroczyście wręczyć egzemplarze bratu biskupowi naczelnemu Tymoteuszowi w Płocku i bratu arcybiskupowi Rafaelowi w Felicjanowie. Jeden egzemplarz został też podarowany biskupowi Alfonsowi Nossolowi w Opolu.

brat Paweł

¹ 46. akapit księgi „Początek zawiązku...” mówi nawet o potrzebie wynagradzania >>za kapłanów, którzy nie odmawiają, albo źle odmawiają<< brewiarz.

² Mówi o tym wyraźnie akapit 8. „Notatek ... z roku jubileuszowego”.

=====

PRACA nad sobą - aperiodyk mariawicki. Wychodzi nieregularnie w miarę nadpływających materiałów. Ukazuje się na prawach rękopisu. Wydaje: Zgromadzenie Mariawitów. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul.Św. Sebastiana 10 m.14 - 31-049 Kraków. „Prenumerata” (zwrot kosztów druku i przesyłki pocztowej w kraju) obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 12 zł. Należność należy przysyłać *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (po 1 zł. lub mniej) podając dokładny adres nadawcy. Można też „prenumeratę” opłacić osobiście w redakcji.. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu trzech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Wysokość prenumeraty zagranicznej zależy od kraju i żądanego sposobu przesyłania (poczta zwykła lub lotnicza) - podajemy indywidualnie na zapytanie. Osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.